ROZDZIAŁ 10

Dariusz Sidor

Pewnego razu

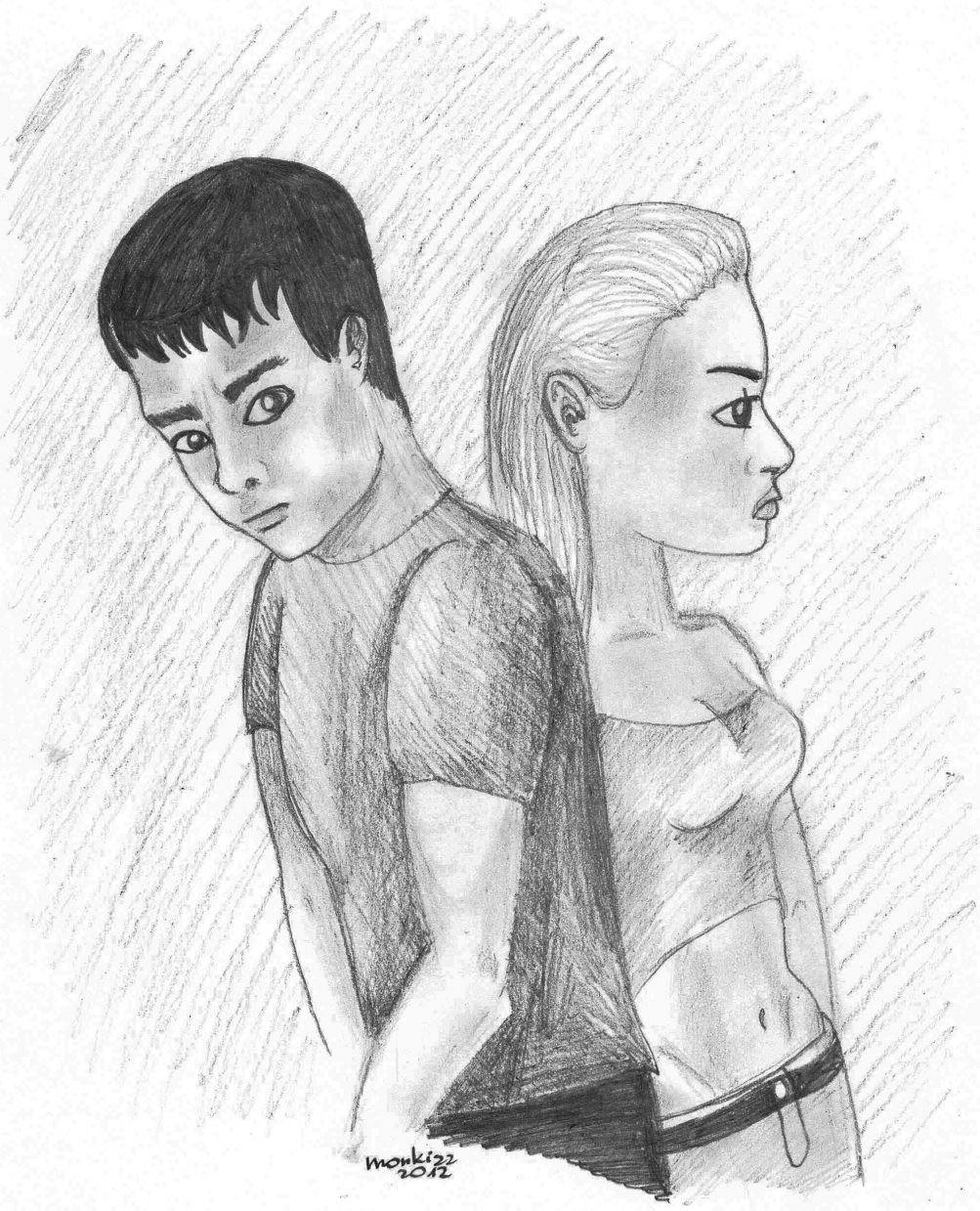
monkizz
2012

Rozpoczął się kolejny ponury i tchnący beznadzieją ranek. Krokodyl obudził się na skutek ssania w żołądku. Czuł jak przykleił się do kręgosłupa i domaga się jedzenia. Te, niestety, od jakiegoś czasu było racjonowane. Konwoje od kilku tygodni nie przyjeżdżały, nie docierały dyspozycje o kolejnym uboju, a zima przedłużała się. Tak naprawdę, to wcale nie minęła. Ludzie znosili to z milczącą rezygnacją, skrycie pielęgnując nadzieję na słoneczne ciepło i zapominaną z każdym dniem soczystą zieleń.

Wiecznie trwająca szarówka jakoś niezbyt mocno dawała się we znaki zwierzom, za to rośliny hodowlane, w przeciwieństwie do tych rosnących dziko, nie bardzo chciały się dostosować. Usiłowali uprawiać jakieś zboża, buraki, ziemniaki, cebulę, ale plony były chaotycznie przypadkowe. Oprócz wyznaczonych dla nich dyń i kukurydzy. Dyń uprawianych hydroponicznie w produkcyjnej części hali zwanej Szklarnią i kukurydzy uprawianej wokół wypalonych kół na zewnątrz. Czemu właśnie te przetrwały i dojrzewały nieczułe na środowisko, a nie inne? Nie miał pojęcia. Nie tylko zresztą on.

Był jeszcze w oparach snu, którego wspomnienie było przyjemne, a którego już nie pamiętał. Liczyło się tylko, że było miło i ciepło, i miał trochę żalu do samego siebie, że trzeba było się obudzić. Wyrwać z błogostanu do codziennych obowiązków. Przez jakiś czas wpatrywał się w odległy sufit w kolorze szarym, z pęknięciami i załataną dziurą, w których widział lecącego ptaka patrzącego na niego jednym okiem. Poranne odnalezienie tego skojarzenia było codzienną rutyną, przypominającą mu, gdzie się znajduje.

Wygramolił się ze śpiwora. Zajmował górną pryczę na sali ogólnej. Nie mając rodziny, nie będąc uprzywilejowanym członkiem społeczności, nie miał prawa ani do namiotu, ani do własnego pomieszczenia za ścianami z dykty. O czymś takim jak własna narzędziownia mógł tylko pomarzyć. Rozejrzał się. Na sali kilka łóżek było pustych, na innych leżeli okutani kocami głównie jego koledzy i nieliczne koleżanki izolując dla siebie każdą odrobinę ciepła. Wspólna sala nie miała ogrzewania, nie to co „domki", pobudowane z odzyskanych materiałów znoszonych z wypraw po okolicznych wioskach, które zajmowały piętrowo większą część jednej ze ścian cementowni. Spojrzał w stronę, gdzie leżała Ruda, obiekt nie tylko jego westchnień. Zacisnął dłoń na stwardniałym członku i boczną śluzą wyszedł z hali.

Na dworze było szaro i chłodno. W takie poranki wydawało się, że zima ustępuje, po czym zazwyczaj po kilku godzinach spadał śnieg zmieszany z popiołem, robiło się chłodno i porządek rzeczy, w którym zimno dyktowało warunki przetrwania wracał na swoje ustalone miejsce.

Nie korzystał rano z ubikacji. Nie lubił kolejek z atmosferą milczącego wyczekiwania i gotowości. Wysikał się wytapiając płat brudnego śniegu i rozcierając ramiona wrócił do środka. Mieszkańcy hali powoli budzili się. Wstawali, kręcili się, stawali za potrzebą, odbierali wrzątek. Gwar narastał.

Podszedł do swojego łóżka, zwinął śpiwór i wrzucił do skrzyni stojącej w nogach pryczy. Wyciągnął z niej dodatkową bluzę i plecak z różnymi rzeczami. Dzisiaj przypadała jego kolej na parodniowe doglądanie zwierzy. Popatrzył w stronę skleconych „domków", jedynych ogrzewanych pomieszczeń w hali. W jednym z nich była kobieta, którą kiedyś nazywał swoją mamą, a teraz Aneczką, jak i pozostali. Była jedną z nielicznych kobiet w ich zbiorowości i, jak to ujęto, musi dostosować się do nowych warunków. Stare więzi i zasady zostały zmienione i wtłoczone w nowe realia. Przynajmniej miała ciepło. Zastanawiał się przez chwilę jak to będzie, gdy wyciągnie los Aneczki, ale odpędził tę myśl. Pewnie przehandluje za coś wartościowego, na przykład dobre ogniwo. Miał co prawda jeszcze kilka nowych i ukrytych w skrzyni, o których nikomu nie mówił, ale kilka więcej mieć nie zaszkodzi. Były bardzo dobrą, uniwersalną walutą. Wyżej ceniono tylko broń i amunicję do niej.

– Idziesz na pole? – stłumiony głos z dolnego łóżka spod koca zadał pytanie, co pewnie miało być porannym powitaniem.

– No, a co? – odparł zaczepnie czując, że już jest podirytowany.

– Nic. – Łysa głowa wychynęła spod koca. – Mógłbyś mi zostawić śpiwór. Dzisiaj mam wolne za wartę.

Krokodyl spojrzał na sąsiada na dole wzrokiem pełnym pogardy. Dwa koce może i wydawały się zbyt małym zabezpieczeniem przed zimnem, ale jego puchowy śpiwór był zbyt cenną rzeczą, by powierzać go komukolwiek. Nawet sąsiadowi z jednej pryczy, od którego się go wygrało.

– Nie – uciął krótko.

– Nie to nie. – Łysa głowa ziewnęła głośno i zanurzyła się pod koc. – Zapamiętam to sobie.

– Zapamiętuj, łysielcu – mruknął do siebie i poszedł w stronę narzędziowni Szefa.

Przechodząc obok łóżka Rudej, mimo obietnic dawanych samemu sobie, że już nigdy w życiu nie popatrzy na nią, zwolnił i kolejny raz spojrzał w jej stronę. Wygrzebała się spod kaptura śpiwora, omiatając halę jeszcze wzrokiem rozespanym, nieostrym, bez uczuć i bez uśmiechu, którego najbardziej pragnął. Nie widziała go. Znowu westchnął. Był dla niej jednym z wielu i, wiedząc, jaka będzie jej rola, pewnie wcale nie było jej z tym lekko. Kim jednak był żeby zmienić zasady? Pamiętał jak jakiś czas temu, by przyciągnąć jej wzrok, zwrócić na siebie uwagę, wyjął z plecaka prawie nowe ogniwo i rzucił Trzeciemu, przybłędzie, którego znaleźli na autostradzie. Twierdził, że uciekał z KoGu, a przecież cały Konglomerat Górnośląski był wypaloną dziurą. Nikt tam nie mógł przeżyć. Zresztą, co go to obchodziło. Może i tak było jak szczeniak mówił. Był zdrowy, tylko chudy i wynędzniały. Chodził wiecznie smętny i przestraszony po hali ciągnąc przy sobie zabawkę – starego mecha, jeszcze nie tak dopracowanego jak następna seria, ale całkiem sprawnego z pokaźnym zasobem gier i sporą biblioteką. Niestety, panele miał stłuczone i potrzebował wspomagania z ogniw. Pamiętał, jak upewniwszy się, że Ruda jest w pobliżu, rzucił małemu jedno całkiem sprawne ogniwo. Dzieciak złapał ogniwo i tylko rozdziawił usta ze zdziwienia, nawet nie krzyknął w zachwycie, a właśnie ten radosny okrzyk miał zwrócić uwagę Rudej. Miał pokazać jaki jest szczodry i wspaniałomyślny. Jaki bogaty i gardzący pożądanymi błahostkami. Nie zwrócił, nawet nie spojrzała. Zmarnował ogniwo dla ulotnej chwili dziewczęcej aprobaty. Jakim był głupcem!

– Ej, Kroko, chcesz herbatki? – To ojciec Smutnego kiwając dłonią przywoływał go do siebie. Herbatkę robili z rozrosłych ponad miarę wiecznie zielonych iglaków, których igły były twarde i niesmaczne, ale napary były nadzwyczaj odżywcze. Robili z nich tylko wywar, cierpki i gorzki, i udający herbatę; herbatkę, jak ją zwali. Na szczęście od czasu do czasu docierali do nich konwojowani handlarze z ziołami od innych grup. Wtedy był czas na rozkoszowanie się aromatycznymi napojami, skręcaniem na zapas papierosów i odstawianiem w ciemny kąt puszek z suszonymi i prażonymi igłami.

– Nie dzięki. Idę na patrol – wyjaśnił.

– Radiowy? Wartowniczy? – I widząc, że Krokodyl kręci głową, zaniechał dalszych pytań. Bo po co pytać, skoro zostawał tylko patrol pasterski, którego, mimo ważności dla ich wspólnoty, nikt nie lubił ze

względu na przydarzające się „zaplatanie ogrodzenia”. – Nie napijesz się? Jak wrócisz, to zrobię ci taką ekstra, dobra? – I zrobił znaczący gest dłonią. Nie chciał głośno mówić o swoich zapasach, gdyż wtedy jakimś dziwnym zrządzeniem losu zawsze zbierało się wielu chętnych na kilka dodatkowych, suchych grudek lub na dodatkowy łyk naparu i dla siebie samego niewiele zostawało.

– Dobra. Na razie.

– Na razie. Trzymaj się i pomachaj młodemu, ma wartę na dachu.

Fajnego ojca ma Smutny. On nie miał i trochę zazdrościł tym, którzy mogli wesprzeć się na rodzinie, na ojcu, bo matek i żon nie mieli. Szczęściarze mieli rodzeństwo, braci.

Doszedł do wartowni. Już na niego czekali. Zyga, niegdyś Valdemar Suchy, zwany za swoimi plecami Pryszczatym, od wyglądu twarzy; Hrabia, profesor Jan Czekalski, a raczej były profesor, bodajże tak mało użytecznego teraz przedmiotu jak pedagogika; Kufel, dawny bezdomny, który i wcześniej zwany był Kuflem i był bezdomnym na utrzymaniu państwa; oraz Pakistan, wnuk emigrantów, z czasów, gdy emigracja była dozwolona i miała jakiś sens, a którego nazwiska ze względu na trudną wymowę zapomnieli, przy okazji zapominając imienia. W ogóle zaczynali znać siebie pod przybranymi przezwiskami, które zacierały wspomnienie o dawnym życiu. Odrzucili nazwiska jak przeszłość. Tylko mama, Aneczka, powtarzała mu w wolnych chwilach, gdy nikt ich nie podsłuchiwał, że ma przechować w swojej pamięci nazwiska przynajmniej większości żyjących w ich zbiorowości. Mówiła mu też wiele innych rzeczy, które miał zachować tylko dla siebie.

Szef, dawniej Sanders Regulski, na jego widok tylko mlasnął głośno, co było wyrażeniem niesprecyzowanego niezadowolenia. Nie wiedział, czy to jego wygląd, czy jakaś była sprawa. Szef już od dłuższego czasu mlaskał z dezaprobatą na jego widok, aż wszyscy przestali na to zwracać uwagę, oprócz niego samego. Irytowało go to za każdym razem i za każdym razem tłumił w sobie wściekłość, i ciągle sobie powtarzał, że kiedyś nie wytrzyma i zbije Szefa, a może nawet zabije, a potem zajmie jego miejsce. Zamiast tego wysłuchał, gdzie powinni pójść, zaznaczył miejsce na swojej przerysowanej mapie i schował do kieszeni. Poszedł do przebieralni, założył swoje rzeczy. Od stróża pobrał maczetę. Własne były tylko noże i to te nie za długie. Te większe zostały zdeponowane jako wspólna broń w zbrojowni. Jedyną strzelbę dostał Pakistan wraz z czterema nabojami.

Pozostałe strzelby i karabiny mieli strażnicy ich hali i zarazem ich życia, a jedyny pistolet Szef.

Często zastanawiał się, do czego doprowadziło bezwzględne rozbrojenie społeczeństwa w ich obecnej sytuacji. Wcześniej ponoć mieli wojsko z niewiarygodnym sprzętem mechatronicznym, a teraz pozostało im kilka strzelb wyciągniętych z pobliskiej leśniczówki i kończąca się amunicja. Jeszcze kilka miesięcy i będą stanowiły odstraszające atrapy. I co wtedy? Jak dadzą sobie radę? Co prawda utworzyła się pod przywództwem Hrabiego grupka entuzjastów posługiwania się łukiem i włócznią, ale co zrobią tymi patykami, gdy nadejdzie uzbrojona grupa? Popatrzył w stronę starego profesora. Ciekawe czy zabrał swoją procę? Ciekawe co zrobi, gdy w odpowiedzi na ciskane kamienie przyleci granat?

Wyszli z hali. Zrobiło się jaśniej, ale i zarazem zimniej. Chuchnęli w dłonie poprzez rękawice, chwilę potupali w miejscu i ruszyli szybkim krokiem, by się rozgrzać. Najpierw szli uprzątniętą drogą, aż do samotnie stojącej szopy, którą wybudowali nad jedyną studnią zapewniającą im wydłużanie szarej jak padający popiół egzystencji. Nie pamiętał tej budowy, choć w niej uczestniczył. Nie pamiętał jak pod dach wcisnęli pompy, położyli rury i całość skwapliwie zabezpieczyli. Wykonana praca dawała im coś, czego nie mogli uzyskać w inny sposób i w innym miejscu – wodę z jakiś podziemnych źródeł i choć miała dziwny posmak można ją było pić.

Potem poszli zniszczonym asfaltem aż do głównej drogi. W jedną stronę było do ich miasteczka, ale tam już dawno przestali chodzić. Co można było zabrać – zabrali, a co zniszczyć – zniszczyli inni. Rzadko tam się zapuszczali, by przy rozbiórce odzyskać jakieś materiały budowlane. Tak jak niegdyś kochali to miasteczko, tak teraz zdawali się go nie dostrzegać, zapomnieć, wymazać z pamięci. Gdyby nie obawa, że dym przyciągnie niepożądanych gości, to pewnie spaliliby je całe, do fundamentów.

Poza tym domy i mieszkania ich rozpraszały. Nie w znaczeniu skupienia myśli, ale rozpraszały fizycznie, jako gromadę. Nie stanowili w nich wspólnoty, a mieszkając w hali byli silną, zwartą grupą gotową odeprzeć każdy atak i wzajemnie się wspierać. Pamiętał, jak rodzina Nowaków uparła się, by zostać u siebie. Nawet dość długo im się to

udawało, na tyle długo, że już szykowały się inne rodziny do powrotu, aż któregoś dnia Nowaków już nie było. Nie pokazali się. Po kilku dniach zdecydowali się ich poszukać. Szukali prawie cały dzień, aż znaleźli. Ogryzionych. Oczywiście tych, których znaleźli, gdyż nie doliczyli się dwójki dzieci. A przy okazji stoczyli potyczkę z jakimiś przerośniętymi i wyleniałymi psami. To w niej sklepikarz Tomasz stracił stopę, odgryzioną przez jednego z nich. To ich jeszcze bardziej utwierdziło w postanowieniu trzymania się razem i mieszkaniu w hali cementowni.

Minęli ostatni posterunek. Wartujący Kulejący Kuter podniósł rękę na pożegnanie. Odpowiedzieli mu tym samym gestem i milcząco podążyli w dalszą drogę. Utarło się, jakoś tak nie wiedzieć z czego, że mijając ostatni posterunek nie wypowiadało się ani jednego słowa. Nawet jak szło się kilkanaście metrów dalej. Tylko gest dłonią. Można było się wylewnie i głośno żegnać w hali, ale na zewnątrz obowiązywała cisza. Kufel kiedyś opowiadał, że hałas pożegnania przyciąga. Nie powiedział co przyciąga lub kogo, ale jego opowieść, pełna zaklinania się na życie własne i wszelkich świętych, o znikających ludziach, sąsiadach, których jeszcze pamiętali, o krzykach, świstach, rzężeniach, dziwnych śladach i plamach krwi, które przecież widzieli każdego dnia wokół cementowni, wzbudziły wtedy taki popłoch u wielu młodziaków, łaknących tego typu opowieści, a potem przeniosła się na starych, którzy niejedno widzieli i w swoich umysłach doskonale dopasowali słowa do zdarzeń, że potem przez kilka dni nikt nie chciał wychodzić nie tylko na poszukiwania czegokolwiek, ale nawet na posterunki. Na dodatek w przeddzień zniknął cały patrol pasterski ze stadem i warta z wysuniętego posterunku. Znaleźli tylko ślady krwi, strzępki odzieży, trochę sierści, a w nocy coś kołatało się w „ich lesie” i parę razy ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk przechodzący w świdrujący wizg. Nikt nie spał. Zbijali się w gromadki i patrzyli tylko przerażeni po sobie. Wtedy to właśnie Kufel rozpoczął szeptać swoją opowieść. Po kilku dniach, gdy się uspokoili, Szef chciał go zastrzelić, ale jakoś skończyło się na przekleństwach i rutynowej chłoście wymierzonej osobiście i z takim zacietrzewieniem, że dwa razy złamała się rączka bata. Kufel to przeżył i gdy się wylizał z ran, to wydawało się, że nie pamięta tamtej nocy, opowieści i kary za nią.

Weszli w las. Ten „ich” – znany i oswojony, nie tak jak te inne, przy autostradzie, w których coś się tłamsiło, jadziło i wykwitało dziwnymi formami życia. Lisia była tego dobrym przykładem, ale też i płożąca się parzyca. Przeszli przecinką leśną, okrążyli zdewastowaną stację

energetyczną i polami ruszyli w stronę jeziora. Żaden z nich nie był zadowolony z przydziału do patrolu i w grupie wyczuwało się rosnące napięcie.

– A pan, panie Kufel, uważa, że zrobi się cieplej? – Profesor do wszystkich zwracał się „per pan”, co dało mu przydomek Hrabia. – Że zima ustąpi? Bo coś mi się wydaje, że nie przystosujemy się. Nie damy rady. Za mało czasu. Ja jakoś nie mogę się przyzwyczaić do tego chłodu. Dobrze, że jeszcze nie pada.

– E tam, damy radę. Przecież jakoś się ociepla – splunął. – Ja to niejedną zimę przetrzymałem na działkach. Dało się wytrzymać, choć zgadzam się, że czasami mogło być ciężko, ale jak był rozweselacz, a teraz nie ma i pewnie nie będzie, to największe mrozy nie były straszne. Teraz to nie zima. Kiedyś to skuwało nawet całą Odrę.

– Tak, ma pan rację, ale wtedy było normalnie. Można było się zagrzać w domu, w pracy, na uczelni, w sklepie, a i lato było gorące. Nie mi nie o to chodzi. Mi chodzi o człowieka. O kondycje człowieczeństwa. Ponoć tylko szczury i karaluchy...

– Jakiego człowieczeństwa? Jakiego człowieczeństwa?! – do dyskusji gwałtownie włączył się Pryszczaty. – Szczury? Karaluchy?! Kurde, ciągle się użeramy z jakimś gównem. Jakieś mutanty. Pokręcone, pokrzywione, wyją, nie gadają i tylko by żarły. To są ludzie?! Aż dziw, że żyją. Że ich ziemia nosi.

– Ty to byś się pewnie ich pozbył, co?

– A pewnie?! Ty co?! Żalić się będziesz nad nimi? Działki, psia mać! Altanki rozkradzione, popalone, zarzygane...

– Panie Valdemarze, panie Valdemarze. No, nie ma potrzeby się tak unosić. Wiadomo, że każde społeczeństwo ma jednostki mało produktywne, ale jako całość ludzkość cały czas parła ku rozwojowi, ku sztuce, ku gwiazdom.

– Właśnie, ku gwiazdom. I co z tego wynikło?

– Ależ to nie znaczy, że należy obwiniać człowieka.

– A kto to zrobił? Zwierza?!

– No, ja bym postawił na zwierza.

– Kufel, wiesz co? Ty jak coś powiesz, to nie wiadomo czy się śmiać, czy płakać. Zwierza?

– Zyga, ty jesteś młody i głupi, i jeszcze niewiele wiesz o życiu, a ja ci mówię, że nie zawsze ludzie przychodzą pod cementownię.

– Panie Kufel, ja bardzo proszę nie poruszać takich tematów. Mało było panu ostatnio.

– No, niby racja. Ej, Pakistan, rozglądasz się dokoła, czy jest okej? – I nie czekając na odpowiedź, choćby kiwnięcie głową, kontynuował: – Bo ja sobie myślę, za co takie coś nam zafundowali. Takie życie, jak nie do wiary. Źle było? Każdy miał tak, jak chciał. No, może nie wszyscy, ale państwo dbało, dawało jeść, dawało rozweselacz, no, troszczyło się. Więc żeby to tak, sru i poszło?! Ja nie wiem. No, profesorze, no jak to było?

– A czy ja, proszę pana, wiem? Tak to nas wychowywano. Ścierały się koncepcje ateńskie ze spartańskimi, postawy użyteczności jednostki dla ogółu i ogółu dla jednostki, a gdy wypracowaliśmy koncepcję wychowania i dobrobytu, to się okazało, że trzeba ideały zapożyczać. Te się ciężko przenosiły, ale co zrobić, technologie ich, siła ich, pieniądze ich, no i dyktat też był ich.

– I mamy, to co mamy. – Nie wiadomo było czy Pryszczaty komentuje ostatnie słowa, czy otaczającą rzeczywistość. – Nie jesteśmy dostosowani do jakiegoś szmatactwa.

– Tak, a najbardziej to było dziwne jak żeśmy nasze euro na yuany zmieniali.

– I wtedy trzeba się było postawić. Nie pozwolić. Żadne tam jeny. Tylko nasza kasa – oponował Kufel.

– Ta, jasne. Już to widzę. Jak się stawiasz.

– A co może nie, może nie?! A kto blokował urząd w Opolu? Kto?

– Pan?

– Ty?

– A niby kto?!

– Ale pan to chyba jeszcze w wózku, jak mama może zabrała pod urząd na spacer, o ile się nie bała – Hrabia się roześmiał. Inni też parsknęli. Nawet głosiciel tych słów też.

– Ale nieważne czy byłem oseskiem, czy nie. Blokowałem? Blokowałem! I to się liczy. Jestem jakimś tam bohaterem, nie? Nawet jakoś tak mnie zarejestrowali.

– Jako jakiegoś tam bohatera, to na pewno – z przekąsem stwierdził Zyga.

– No, toś mnie pan ubawił. I powiem tak, od razu lżej mi się idzie. Pan to potrafisz ulżyć człowiekowi na doli. Oj, dziękuję, dziękuję bardzo.

Parę metrów za nimi Krokodyl usiłował wydębić od Pakistana jego upragniony obiekt uwielbienia, strzelbę, do potrzymania lub poniesienia rzecz jasna.

– Ty, no daj.

– Nie.

– Ale co ci szkodzi. Poniosę chociaż trochę. Możesz naboje wyjąć jak się boisz, że wystrzelę.

– Nie. Ja ją dostałem i ja ją będę miał.

– Ale co ci z tego przyjdzie, że ją będziesz nosił. I tak ją będziesz miał, stojąc na warcie i pilnując stada. Poniosę, będzie ci lżej, odciążę cię na chwilkę.

– Nie. Daj mi spokój.

– Ale czemu.

– Bo nie. Kroko, czy ty jesteś jakiś nienormalny. Mówię nie, to nie! Nie rozumiesz?!

– Rozumiem, ale wiesz... – Ręka wyciągnięta złapała za kolbę.

Pakistan obrócił się gwałtownie wyszarpując broń.

– Zaraz ci w dupę strzelę, tumanie!

– Ej, dzieci, bo zaraz ja wam strzelę po dupach. – Zyga na moment odwrócił się i pogroził pięścią. – Spokój ma być na patrolu. Masz Krokodyl problem? Coś ci się zwidziało? Coś się nie podoba? To maszeruj grzecznie i nie jęcz. Przyjdzie czas to będziesz tachał giwerę aż ci to obrzydnie.

Chwilę maszerowali w milczeniu, po czym Hrabia znowu wdał się w rozmowę z Pryszczatym i Kuflem dotyczącą zmieniającego się klimatu. Krokodyl przez chwilę się przysłuchiwał, ale w końcu znudziło mu się to. Usiłował jeszcze raz pogadać z Pakistanem i jakoś go uładzić, bo nie chciał, żeby ten się na niego złościł, ale on nie chciał z nim gadać. Zarozumialec, raptem o rok starszy. Nie to nie. Pomyślał sobie, że mógłby stąd uciec, choćby zaraz. Zostawić ten niesprawiedliwy świat. Co go tu trzyma? Obowiązki, przepisy, groźba nieznanego, brak żarcia? Może być gorzej? Pójdzie do Częstochowy, pójdzie do bogini, poprosi o pozwolenie pozostania, przecież będzie przydatny. Ponoć tak się dzieje i nie trzeba mieć dokumentów, paszportu, zaproszenia. I nie słyszał, żeby kogokolwiek wyrzucili, a opowieści Kufla, że rozstrzeliwują, to już kompletne brednie, bo skąd on może o tym wiedzieć.

Tak sobie rozmyślając doszedł z grupą do pastwiska. Z daleka dostrzegli krzątających się ludzi, rozklekotaną szopę, w której powinien być piecyk i zwierza stłoczone w jednym końcu pastwiska. Krokodyl jęknął – więc nie zmienili ogrodzenia. Znowu będą się męczyć. Chyba niczego innego od kilku patroli nie robił. To już piąta zmiana pastwiska pod rząd, która jemu przypada. Szef to chyba specjalnie układa.

Doglądanie zwierzy na pastwisku było zajęciem nudnym lub ekscytującym, co w głównej mierze zależało tylko od stanu ducha i kaprysu doglądającego, no i od składu patrolu. Mimo różnorakich preferencji, było to zajęcie ważne. Utrzymywali się przede wszystkim z hodowli zwierza. Kiedyś to były krowy i świnie, teraz jakieś ich pokrzywione odmiany. Krokodyl zastanawiał się, czy też się zmienią jedząc ich mięso, ale Smutny zapewniał go, że tak nie będzie. Wierzył mu, bo Smutny był przecież najlepszym ratingowym uczniem. Mimo tego wolał jeść kukurydzę, której ziarna wielkości końcówki małego palca, były słodkawe, nawet na surowo.

Poprzednia grupa, którą zmieniali była jego zdaniem fajniejsza niż ta, z którą chodził. Co prawda był w niej Mareczek, który cwaniakował i kiedy tylko mógł każdemu, bez wyjątku, coś podkradał, ale akurat szefem był Gruby i przy nim zawsze było miło i wesoło, i chyba się nawet trochę lubili. Przynajmniej miał taką skrywaną nadzieję. To jakoś poprawiło mu humor i nawet, gdy dowiedział się, że będą musieli przesunąć zagrodę, co i tak wiedzieli, bo zwierza już tłoczyły się przy jednym końcu i żałośnie porykiwały, chrząkały i pomlaskiwały, nie zmieniało to jego nastawienia.

Ich poprzednicy mogli co prawda to zrobić, ale wiadomym było, że każda zmiana czeka z tym do nieodwołalnego końca. Po zwierzach było widać, że nie uda się przeczekać kolejnej doby. Trzeba było zabrać się do pracy, wyznaczyć nowy teren przylegający bokiem do poprzedniego, wbić paliki, rozciągnąć drut, przygotować ogniwa do podłączenia, odłączyć te ze starego ogrodzenia, rozewrzeć drut, przepędzić stado, zamknąć, podłączyć. Banał. Tylko, że jeden z nieregularnych boków tego pastwiska był zawsze oparty o wypalony obszar, gdzie nic nie rosło, nic tamtędy nie łaziło i wejście na niego zawsze kończyło się gorączką, czerwienieniem skóry, bąblami (i co z tego, że znikały po tygodniu) i kilkoma bezsennymi nocami, podczas których bolało całe ciało, kości, zęby, a nawet włosy. Za to na styku wypalonej i zmrożonej ziemi zawsze coś w ziemi rosło, co

tylko zwierza sobie wygrzebywały i jadły, a one stanowiły podstawę ich pożywienia i utrzymania, więc były ważniejsze od nich samych.

I co z tego? Trzeba było podejść bardzo blisko i jak najdalej rzucić drut w wypaloną ziemię, inaczej zwierza przełaziły i rozbiegały się po okolicy, co najczęściej oznaczało ich całkowity przepadek. Czasami rzut trzeba było powtórzyć, a czasami wejść na parę kroków, by być pewnym zaczepienia i ktoś to musiał zrobić. Gówniane zaplatanie ogrodzenia.

Na razie Zyga wyznaczył Pakistana – co jest zrozumiałe, bo miał strzelbę – i Hrabiego do obserwacji okolicy, a z pozostałymi zaczął wbijać paliki. Zwierza zaczęły podekscytowane przytupywać i pochrumkiwać. Wiedziały, że za jakiś czas wedrą się na nowy kawałek ziemi i zaczną ją ryć w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Przez kilka godzin pracowali w milczeniu, bo o czym tu gadać. Kiedyś w jakimś patrolu było kilku starszych i wzięło ich na politykę. Dyskusja zrazu spokojna stała się gwałtowna, gdy zaczęła dotyczyć frakcji politycznych wyłanianych dawno temu do parlamentu. Kłótnia była na tyle burzliwa, że mało się wtedy nie pozabijali. Postanowiono ich rozdzielić i w ten sposób Hrabia trafił do jego grupy zamiast Smutnego. To powodowało, że Krokodyl nie bardzo lubił starego profesora.

Z polityki, którą utożsamiał z ostatnimi wydarzeniami, pamiętał tyle, że na początku było coś o inwazji obcych na ich kraj, pojawiły się jakieś napięcia na rynkach energii odnawialnej, gdzieś skoczyły ceny plonów, nie wiadomo skąd nagle wszystko podrożało. Jego wiekowy pradziadek z mundurową przeszłością narzekał, że znowu będą kartki i że przydałby się drugi Jaruzel, który by opanował sytuację. Wyjaśniał, że Jaruzel to był wielki wódz i generał, i ocalił kraj przed Rosją, której też już teraz nie ma. Krokodyl pamiętał jego monologi i cotygodniowe zakupy nieodmiennie złożone z tych samych produktów. Skończyły się one pewnego dnia, gdy pradziadek Stefan poszedł do supermagu po wódkę, cukier i papierosy (płacił za nie krocie, ale podatek od nich ignorował i nie obchodziło go, że to rodzina musi go spłacać za niego), i więcej nie wrócił.

Aż w końcu komuś nie wytrzymały nerwy i... jakoś się zmieniło całe życie. Zamarły transmisje fonowe, przestały działać tapy, szeptano o ruchach wojsk, aż nagle coś rozbłysło, huknęło i dotychczasowe życie zamarło. Biolampy świeciły się co prawda jak dawniej, ale miało się wrażenie, że ich blask nieco przygasł.

Potem ludzie zamknęli się w domach, potem przejeżdżały jakieś grupy strzelające gdzie popadnie i rabujące co się dało, potem większość ludzi wyruszyła w podróż każdym dostępnym środkiem lokomocji, a potem zaczął padać ten brudny śnieg z deszczem, wiać wiatr i nastały ciemności przerywane hukiem i rozbłyskami. Gdy po kilku dniach, czy tygodniach, to minęło, zaczęli wychodzić z domów ci, którzy przeżyli i dziwić się skąd ten szary śnieg. Nawet nie mieli na czym wyjechać z tego miejsca. Wszystkie pojazdy pokradzione, poniszczone, unieruchomione. Ogrom zniszczeń nie przerażał tak bardzo, jak ich wybiórczość. Do któregoś miejsca ziemi wypalona, czarna, metal poskręcany, kompozyt potopiony, plastik w ogóle na pył popalony, a metr dalej samochód nietknięty. No i tak dziwnie swędziała skóra koło takich miejsc, aż nauczyli się utrzymywać bezpieczny dystans. Zaczęli życie od początku. Najpierw pod przewodnictwem byłego kandydata na burmistrza, ale szybko okazało się, że jego ambicje nijak się mają do zastanej rzeczywistości, potem wikarego, którego ksiądz nie zabrał do samochodu. Chcieli na początku schronić się w kopalniach KoGu, ale przerażała ich podróż i niepewność drogi. A po Sądnych Dniach, jak je zwykli nazywać, okazało się, że jakoś sobie dają radę. To dzięki takim, którzy nie chcieli wątpić i skazywać siebie na powolną zagładę, a potem przyszedł Szef i wprowadził ich w nowe życie.

Szef nie był nikim wyjątkowym, żadnym szlachetnym wędrowcem znikąd wcielającym nowe ideały i rozsiewającym ziarna spokoju, dostatku i nowego życia. Był to mieszkający nieopodal ich miasteczka jakiś administracyjny urzędnik, który biorąc łapówki za wydawanie pozwolenia budowy, obietnice odrolnienia gruntów i inne jakieś szemrane interesy, których, mimo ciągle ponawianych obietnic, przez kilkadziesiąt lat nie potrafiono wyplenić i usunąć z urzędów. Przyszedł po kilku tygodniach ich rozpaczliwej samotności, zadowolony, przyjazny i z wieloma pomysłami. Pewnie wygłaszał różne opinie, z każdym rozmawiał, aż w końcu zaczął forsować swoje zdanie. Mimowolnie, ale za milczącym przyzwoleniem ich społeczności, został Szefem. I jeżeli kiedyś był kanalią, to teraz stał się przywódcą ich stadła, nade wszystko dbający o nich, potem o siebie, choć co do tego były podzielone zdania. Szeptali, że się zmienił. Szeptali, bo po co głośno mówić.

Nielicznym udawało się dołączyć do ich społeczności. Tak dołączył do nich Mareczek, Szalona Zocha, Stachu i chyba jeszcze kilku. Jakby

chciał, to by sobie przypomniał jak na nich wołają, ale po co? Jeszcze rzadziej udawało im się kogokolwiek znaleźć. Za to potem znalazł ich Zakon i przyłączył, i narzucił swoje prawa, i tak już zostało.

Zatracony w pracy Krokodyl nie zauważył, a właściwie to dopiero wtedy zauważył, że był ostatnim wykonującym jakąkolwiek czynność, gdy inni przestali pracować, że ciężkie, wiszące nisko obłoki zaczęły się nieco przerzedzać. Mieli niebywałe szczęście. Robiło się coraz jaśniej i jaśniej, aż przez zwały chmur na moment wyszło słońce. Rozświetlając okolicę i wlewając w serca chwilową nadzieję – nie, że kiedyś przyjdzie wiosna, a po niej lato, ale że ociepli się i będą mogli zrzucić kolejne warstwy ubrań, że na hali zrobi się ciepło, że zazielenią się łąki i lasy. Krokodyl tęsknił także za mieniącymi się w blasku słońca jeziorami. Miał kiedyś bardzo dużą ochotę na kąpiel, nawet mimo ostrzeżeń, że obłazi po tym skóra. Pamiętał jak pływał w basenie, w jeziorze dawno temu i jaką czerpał z tego przyjemność – ujarzmienia obcego środowiska. Często wracał w marzeniach do tego momentu dzieciństwa, gdy wyprostowane ramię cięło wodę w rytmicznymi ruchami. Namacalnie czuł, że wtedy był wolny i zależny tylko od siebie, i czasami za tym tęsknił. Tym silniej, im bardziej zdawał sobie sprawę z tego, że jest to i długo będzie niemożliwe. Pamiętał, że kiedyś postanowił mimo wszystko wejść do wody. Nie obchodziła go niska temperatura, ani mroźne powietrze, ani konsekwencje schodzącej płatami skóry. Ale odkąd zobaczył parę czegoś, co wydawało mu się krokodylami wynurzonymi do połowy na brzegu pobliskiego jeziora, to przeszła mu na kąpiel ochota. Nie widział ich co prawda dokładnie. Nawet nie był pewien czy w ogóle coś widział, ale porozmawiał o tym z Szefem, który najpierw go wyśmiał, ale zwołał grupę i poszli sprawdzić tamto miejsce. Pamięta tamtą wyprawę. Pełną napięcia, wzajemnego ubezpieczania się, ostrożności i płochliwości. Niczego nie znaleźli, choć parę razy nad czymś się zastanawiali, grzebali w plecakach, coś wyciągnęli, coś montowali. Na pamiątkę tamtej wyprawy zaczęli wołać go Krokodyl.

Przestali pracować i wystawili blade twarze w atawistycznym odruchu do słońca. Będą o tym opowiadać przez kilka tygodni, aż inni przestaną im wierzyć. Jednak po chwili znowu zaczęło się ściemniać i jakby wetując ten przypływ nadziei zaczął padać drobny, mokry śnieg wymieszany z popiołem. Nie cierpiał tego. Tłusty i szary, przyklejał się do

ubrania, a przy strzepywaniu rozmazywał się w smugi, które zostawały na odzieży już na zawsze. Dużo czasu tracił na usuwaniu go ze swoich ubrań. Ku ucieszy innych, gdyż w którymś momencie zaczęło to stanowić o znaczeniu posiadacza takiej wymazanej kurtki, płaszcza, czy kombinezonu. Im bardziej brudna, tym jej posiadacz więcej czasu spędził na zewnątrz, co dawało mu pewien mir u pozostałych. Co dziwne, było to związane z odzieżą, nie z osobą. Więc najbardziej wytrawny skaut w czystym płaszczu był mniej poważany, niż zestrachany młodzik w tłusto–brudnym płaszczu.

Zabrakło drutu. Zyga oczywiście powiedział, co o tym myśli i czyja jest to wina, choć nie wskazał żadnego winnego w swojej tyradzie. Skończyło się to, jak zawsze się kończyło – to właśnie Krokodyl miał wrócić i, w te pędy, przytachać z powrotem jeden zwój. On sam, czyli Zyga, oczywiście nie mógł tego zrobić, bo musiał czuwać nad zwierzami będąc dowódcą tego patrolu pasterskiego, Kufel nie mógł iść, bo miał mu pomagać, Hrabia był zbyt stary i pewnie by nie uciągnął całego zwoju, a Pakistan z bronią musiał tu być, bo miał broń. Jakież to było proste.

Na nieszczęście opad brudnego śniegu się nasilił. Jego koledzy schronili się w szopie, którą postawili zanim jeszcze urządzili pastwisko. Spojrzał jak z wystawionej rury wydobywa się dym i myśl o ognisku spowodowała, że mimowolnie skulił się i przeszedł go zimny dreszcz. Nie lubią go, dobra, on ich też nienawidzi. Siedzą przy ognisku i snują te swoje dziwne opowieści o tym co było. Nie znosił tych wspominków. Było, minęło, nie ma czego rozpamiętywać. Zwłaszcza teraz, po niedawnym najeździe jakiejś wygłodniałej bandy. Udało się ich odeprzeć, ale znacznie uszczuplili zasoby amunicji, ranili Małego i zabili dwa zwierza. Połowa mięsa wtedy się zmarnowała. Szkoda. Od tamtej pory przestali się czuć bezpieczni. I nie było to wcale radosne uczucie, za którym by tęsknili. Powiadomiony Zakon wykonał kilka patroli, posiedział parę dni u nich, ale na tym się skończyło. Co ich obchodziła jakaś rolnicza osada? Liczyli się tak długo, jak długo utrzymywali kontyngent dostarczanej żywności. Taka była prawda ich życia – przygotować w terminie kontyngent mięsa.

Pociemniało i zrobiło się nieprzyjemnie. Widoczność się zmniejszyła, a wiatr dodatkowo wyciskał łzy. Założył gogle, włączył noktowizor. Sprawdził stan baterii. Na wyświetlaczu widniało „76%”. Przez ostatni miesiąc ubyło ledwo dwa. Dobry, porządny, indyjski wyrób. Całą paczkę baterii znalazł w nielegalnej wyprawie do miasteczka i był z

tego bardzo zadowolony i dumny. Wszyscy mu zazdrościli i to pewnie ta zawiść spowodowała, że ktoś doniósł. Wcześniej liczył nawet na możliwość wymiany na posiadanie strzelby, ale zamiast tego dostał dwadzieścia batów za niesubordynację, a na drugi dzień następnych dwadzieścia, za to, że nie podzielił się znaleziskiem. O dziwo nie odebrano mu baterii, które stały się pogardzanym przedmiotem, przywołującym fantomowe bóle pleców.

Przeszedł przez Spalony Las, a właściwie zagajnik. Same kikuty. Tylko w jednym miejscu jakieś lekko fosforyzujące zielsko. Kiedyś poszedł w tamtą stronę zbadać co to, ale im głębiej wchodził w Spalony Las, tym bardziej swędziała skóra. Nie doszedł. Stwierdził, że poczeka aż zielsko się rozrośnie, wtedy weźmie je do domu. Bezpłatne światło w nocy. Niezależne od biolamp. Uśmiechnął się do siebie na wyobrażenie cementowni oświetlonej przez całą noc oplatającymi pnączami.

Wszedł na most nad autostradą i jak zwykle zatrzymał się na środku patrząc na wszystkie cztery pasy – puste, martwe, gładkie. Przypomniał sobie, jak dziadek kłócił się z kimś na temat „gównianych i wąskich" dróg w tym kraju. A przecież nie były wcale takie wąskie. Wyobraził sobie jak mknie kompozytowym autostradą. Ech, w ogóle by się nie zatrzymywał. Nikt by go nie doścignął. Pędziłby przed siebie w stronę jasnego słońca. To będzie przyjemne uczucie. Zadumał się, zamyślił, zamknął oczy i całkowicie zatracił w wykreowanej wizji. Wyimaginowany wiatr z włosów rozwiał całkiem realny poszum silników. Momentalnie skulił się i przypadł do ziemi. Włączył okulary i rozejrzał się dookoła. Nic. Uniósł głowę i spojrzał na drogę. Nic. Odwrócił się i pochylony przebiegł na drugą stronę. Zobaczył światła. Zdjął okulary. Autostradą jechała kolumna wozów.

Dostrzegł powiewającą chorągiew Zakonu. Dlaczego jechali autostradą w stronę Opola? Dwa blaszaki na przedzie, potem ciężarówka, i jeszcze jedna z transporterem na lawecie. Kolumnę zamykał jeden kompozyt. Ciekawe, co się tam dzieje? Odczołgał się od krawędzi i spełzł środkiem drogi do filarów wiaduktu. Dalej zagłębił się w las. Czy będzie chciał o tym opowiedzieć Szefowi? Nieczęsto widywało się jakikolwiek pojazd, a co dopiero kolumnę pojazdów. Nawet jak dojeżdżał do nich konwój, to i tak to była tylko grupa maszerujących handlarzy z osłaniającymi ją dwoma kompozytami. Ta kolumna na drodze

uwrażliwiła go na otoczenie. Jakby więcej naraz zaczął słyszeć i postrzegać. Skulił się w sobie i stał czujny.

Trzasnęła gałązka w lesie. Momentalnie się zatrzymał. Włączył gogle i przykucnąwszy przeglądał kawałek po kawałku miejsce skąd dobiegł go hałas. Potem jeszcze rozejrzał się dookoła i jeszcze raz wpatrywał się w miejsce skąd doszedł go niepokojący dźwięk. Jest. Zobaczył. W zastygłej pozie wpatrywała się w niego lisia. Jeszcze się nie zdarzyło, by kiedykolwiek lisia zaatakowała człowieka, ale po co sprawdzać, czy ten pierwszy raz nie nastąpi dzisiaj? Chrupnie szczęką i jesteś bez nogi, a złapie wpół, to przegryzie na dwoje. Wstał i ostrożnie wycofał się, cały czas obserwując zwierzaka. Dopiero po kilkunastu metrach odwrócił się i pobiegł do cementowni.

Minął posterunek. Kutra pewnie już nie było, a zmiennik jakoś nie kwapił się trzymać warty na zewnątrz. Zresztą w taką pogodę komu by się chciało chodzić. Sypie szarym i ci co mają odrobinę rozumu chowają się w zacisznych kątach.

Nie to co na dachu cementowni. Tam punkt obserwacyjny był zabezpieczony przed wiatrem, śniegiem i popiołem, a strażników było co najmniej trzech i jeden musiał cały czas pozostawać na zewnątrz. Pewnie któryś z jego ziomków ma teraz wartę i spogląda na niego przez dalmierz. Podniósł rękę i pomachał. Głowę by dał, że tam, na górze obserwator zrobił to samo i poinformował już o jego nadejściu.

W hali szyby zastąpiono płytami lub zamurowano, wejście było dobudowanym korytarzem, przyklejonym z jednej strony do budynku i zakończonym śluzą. Wchodząc do korytarza pomachał jeszcze raz strażnikowi na dachu, bo ten akurat spoglądał na niego wychylony przez krawędź. Ten go pozdrowił, i w geście tym Krokodyl zobaczył, że to jego jedyny przyjaciel – Smutny. Nazwany tak przez przekorę. Jego twarz, policzek pocięty w jakiejś dawnej bójce sprawiał, że każdy, kto na niego patrzył miał wrażenie, że się uśmiecha.

Stanął przed śluzą, zadzwonił. Po chwili szczęknęła blokada i mógł otworzyć drzwi. Wszedł do środka pomieszczenia, stanął, wziął konewkę i spłukał z siebie popiół. Stał chwilę, a potem zdjął skórzany płaszcz, strzepnął i zawiesił na kołku. Wziął szmatkę i zaczął go przecierać i czyścić. Zdjął i odstawił buty, zmienił spodnie, ubrał resztę swoich ciuchów i wszedł na halę.

Pytania zawsze ciekawskiego wartownika o tym, co było na patrolu i czemu jest tak wcześnie, co się stało, zbył jakimiś westchnieniami i mruknięciami.

Najpierw obowiązki. Podszedł do tablicy i na arkuszu zaczął nanosić dane z pastwiska. Tak kiedyś uzgodnili, że jeśli ktokolwiek w jakimkolwiek celu będzie musiał choćby na moment wrócić z pastwiska, to będzie musiał złożyć dodatkowy raport. Zdziwił się, że nikt nie przybiegł popatrzeć na wpisywanie danych. Zawsze kilka par oczu śledziło dane i porównywało z poprzednimi, a im bardziej konwoje się opóźniały, tym natarczywiej i nerwowo było przy tablicy. Nie daj, by jakiemuś patrolowi nie zgadzała się choćby jedna sztuka. Zaczynały się wyzwiska, przeklinania, a nawet brano się za wymierzania dodatkowych kar, jakby nakazana chłosta poprzedzana krótkim zazwyczaj dochodzeniem była niewystarczająca.

Po wpisaniu danych na tablicy chciał pójść do Szefa podać powód powrotu i uzyskać pozwolenia na zabranie zwoju drutu. Przy okazji pewnie opowiedzieć o przejeżdżającej kolumnie, ale jego uwagę zwrócił dziwny bezruch w hali. Zaczął nasłuchiwać i zdawało mu się, że usłyszał pomruk tłumu dochodzący z części hodowlanej. Poszedł w tamtą stronę.

Na hali na łóżku siedział Dziadek, naprawdę wiekowy staruszek, trzymał laskę między nogami i oparłszy dłonie na niej kołysał się w przód i tył.

– A tak, a tak... poszli wszyscy, zabierają ich, zawsze naprzód zabierają... a tak, a tak...

– Wszystko w porządku, Dziadku? – rzucił Krokodyl, bojąc się, by Dziadek nie odpowiedział i nie zatrzymał go, starając wyjaśnić dawno wyjaśnione sprawy. Na szczęście ten pogrążony był w letargu i z otępieniem powtarzał swoje „a tak, zabrali, a tak...”, co dodatkowo wzbudzało niepokój. Przyspieszył, przebiegł przez dziedziniec do sąsiedniej hali, która służyła im za ubojnię, kuchnię i świetlicę.

Stali tam wszyscy, którzy nie musieli dzisiaj wychodzić na patrole. Tłoczyli się obok dwóch ludzi: Szefa i skauta Zakonu.

– Przemyślcie to sobie dobrze – mówił skaut. – Nie będę od nikogo z was wymagał natychmiastowej decyzji, ale może tak być, że nastąpi taki moment, że potrzebne będzie wasze wsparcie i wtedy – rozłożył ręce – znajdziemy chyba jakieś wyjście...

Zakończył rozłożystym uśmiechem i popatrzył na Szefa, który z kwaśną miną zakomenderował koniec zebrania i zaczął zaganiać

wszystkich z powrotem do hali, bo zimno i do pracy, bo robota sama się nie zrobi. Zobaczył Krokodyla, który akurat zmierzał w stronę Aneczki.

– Ej, ty! Co tu robisz?! – Widać było, że jest zły i szuka sposobu by rozładować na kimś gromadzoną agresję. – Co, za zimno się zrobiło? Parę batów na rozgrzewkę?

– Przyszedłem po drut. – Krokodyl szybko zaczął wyjaśniać sytuację. – Zabrakło drutu. Jednego zwoju. Przyszedłem po drut. Zyga mnie wysłał, po drut.

Szef jakby się trochę uspokoił. Machnął ręką, żeby za nim iść i już nie patrząc ruszył przed siebie. Przez moment Krokodyl zdążył wyłowić utkwione spojrzenie mamy. Uśmiechnął się. Odwzajemniła go. Kiwnęła głową w bok, by poszedł za Szefem. Mrugnął do niej i ruszył za grupą. Kątem oka zauważył, że skaut idzie obok niego.

– Jak tam, młody, podoba ci się tutaj? – Głos miał dźwięczny i melodyjny. Pewnie byłby doskonałym uwodzicielem kobiet, gdyby nie biegnąca przez całe czoło głęboka bruzda nad brwiami, która szpeciła twarz i stanowiła odpychający szczegół.

– Nnno...

– Nie musisz mówić. Widzę, że nie wiesz. Podoba ci się, bo nie znasz zbyt wiele świata. Może coś z dzieciństwa pamiętasz, może z jakiś działających zbiornic, jeśli działały i jeśli pozwolono ci do nich sięgnąć, może z opowieści rodziców.

Krokodyl skulił się na samo słowo przywołujące rodziców. Skaut chyba dojrzał ten gest.

– Mógłbym sprawić, że poznasz trochę tego świata – wrócił do poprzedniego wątku. – Nie wszystkie opowieści są wymyślone. Dzieje się dużo różnych i znaczących spraw. Byłeś w KoGu? – znienacka zadał pytanie.

Krokodyl wzruszył ramionami.

– Tam dziura. Nic nie ma.

Skaut tylko kiwał głową.

– A w Opolu? Pewnie chodziliście tam po różne rzeczy. – W głosie jakby pojawiła się nutka drwiny, ale Krokodyl zdawał się tego nie zauważyć.

– Chodziliśmy – przyznał z ociąganiem – ale większa część jest niedostępna. Parzy – wyjaśnił. – A poza tym jakieś bandy się potworzyły i pilnują dostępu. No i te psy, czy co to jest?

– A byłeś u nas? W Zakonie?

– W Zakonie? Czyli w Częstochowie?

– Dokładnie, na Jasnej Górze.

– Chciałbym, ale nie ma kto robić na miejscu. Szef nie puszcza.

– A jakby puścił? To pojechałbyś?

– No, nie wiem. Pewnie tak, ale nikt mi nie da papierów. Paszport, zgoda na wyjazd, zaproszenie z Częstochowy... – zwiesił głos. – I pewnie za młody jestem na obowiązkową pielgrzymkę. Nie uda się.

– To chodź, pogadam z twoim Szefem – uśmiechnął się.

Krokodyl zwolnił i spojrzał baczniej na skauta. Nagle dostrzegł możliwość wyrwania się choć na tydzień z cementowni, a jednocześnie dostrzegł jakiś niedostrzegalny blask władzy w twarzy skauta i poczuł niepokój, który szybko zdusił.

– Naprawdę?

– Tak. – Skaut szedł w stronę narzędziowni nie patrząc na rozmówcę. – Chcesz czy nie?

Krokodyl nerwowo przełknął ślinę i nagle poczuł jak otwierają się przed nim niedostrzegane wcześniej możliwości. Czuł ważkość chwili i wiedział, że musi podjąć decyzję nim postawi następny krok.

– Chcę.

– To ja idę do Szefa, a ty się pakuj – rzucił beznamiętnie skaut, nie zwalniając swego marszu i w dalszym ciągu nie patrząc na niego.

– Jak to: pakuj? – Przebierał nogami starając się dotrzymać kroku.

– Normalnie. Chcesz jechać, czy nie? Chcesz – odpowiedział sam sobie. – To idę załatwić twój wyjazd.

Krokodyl zwolnił i się zatrzymał.

– A drut na patrol?

Skaut przystanął i w końcu spojrzał na Krokodyla.

– Nie martw się drutem, pójdzie ktoś inny – żachnął się zniecierpliwiony. – No, ruchy.

– No, nie wiem...

Krokodyl wątpił, aby ktokolwiek zechciał go zastąpić na patrolu. To po pierwsze, a po drugie Szef nie wyznaczał żadnych zastępstw.

– Ale ja wiem. Idź się pakuj. Załatwię wszystko – podszedł do młodzieńca i położył mu rękę na ramieniu. – Nie martw się i przyjdź zaraz do Szefa. No... – uśmiechnął się, obrócił swoim silnym ramieniem i popchnął w stronę łóżek. – I mów do mnie Mucha.

Krokodyl zrobił kilka kroków, przystanął i odwrócił się. Skaut dużymi krokami oddalał się w stronę w stronę narzędziowni Szefa. Stał

chwilę niezdecydowany co zrobić. Pakować się? Naprawdę, pakować się? Krokodyl ruszył za Muchą do Szefa.

Wchodząc do narzędziowni dostrzegł jak jeden z ochroniarzy Szefa tylko łypnął w jego stronę, ale nie kazał mu się opowiadać i czekać na wezwanie. Machnął tylko ręką, żeby wchodził do środka. Trochę go to zdziwiło, ale zmęczenie drogą i oszołomienie niedawną rozmową sprawiło, że przeszedł nad tym do porządku dziennego i, w ogóle się nie zastanawiając, wszedł do pomieszczenia. W środku zastał opartego o stół skauta Zakonu i krążącego jak zwierza po polu Szefa. A w pokoju wyczuwało się elektryzujące napięcie.

Chciał powiedzieć po co przyszedł, ale nie pozwolono mu mówić. Szef był poirytowany i chciał go wyrzucić, ale skaut kazał mu zostać. O dziwo, Szef szybko i miękko przystał na to. W końcu, po wysłuchaniu prośby o drut, kiwnął głową. Krokodyl chwilę postał i nagle zdał sobie sprawę, że obaj mężczyźni wpatrują się w niego. Poczuł jak propozycja Muchy staje się całkowicie niedorzeczna. Zaczął się odwracać w stronę wyjścia.

– Czekaj – to na pewno było do niego. Stanął. – A ten chłopak? – To pytanie już na pewno nie było do niego.

– Ten chłopak... – Szef zawiesił głos, wzruszył ramionami. – Jest za młody. Mucha, zlituj się. Poza tym ktoś musi pilnować zwierzy. Czy wam w Zakonie coś się nie pomyliło? Czego znowu chcecie? Naprawdę myślisz... – Widać było, że zaczyna się rozkręcać i za chwilę z rozdrażnienia wpadnie w irytację i zacznie krzyczeć, ale jakoś dziwnie uspokoił się pod spojrzeniem skauta.

– Nikogo nie chcę, choć ten jest młody, silny. Wygląda na takiego, który da radę. Przynajmniej na takiego wygląda. Przestań biadolić, proszę cię, przestań. – Takie słowa trochę dziwiły Krokodyla, ale nie miał czasu się nad nimi zastanawiać i w ogóle nad tymi dwoma mężczyznami, którzy wydawali się sobie znajomymi. – Ej, dobrze się uczyłeś?

– Ja? No, chyba tak...

– Chyba?

– Osiemdziesiąt siedem z kawałkiem na ostatnim pełnym semestrze.

– Czyli całkiem nieźle, co nie? – mrugnął okiem. – Chciałbyś coś powiedzieć, o coś poprosić, o czym rozmawialiśmy niedawno?

– Zdążyłeś już z nim porozmawiać?! – wypalił Szef.

– Zdążyłem. Zawsze rozmawiam z ludźmi, co w tym dziwnego. – Skaut wzruszył ramionami, a Szef zamilkł, sapnął i podniósł głowę. Krokodyl wymienił z nim spojrzenie.

– A więc jednak – mruknął Szef. – Chcesz?

Krokodyl poczuł, że to jest ta chwila. Wyczekiwana i zarazem unikana.

– Chcę.

– Trzymaj.

Szef z szuflady biurka wyciągnął paszport i zgodę wyjazdu. Wbił pieczęć i złożył podpis na obu dokumentach.

– Rozumiem, że o zaproszenie chłopak nie musi się martwić.

– Nie musi. – Mucha płynnym ruchem schował dokumenty do kieszeni swojego płaszcza, a z drugiej kieszeni wyjął jakiś żeton lub monetę. Krokodyl nie miał szansy przyjrzeć się jej lepiej, bo Szef szybkim ruchem zsunął ją do szuflady. – To co młody, czas na nas. Bywaj Suchy. Chodź idziemy.

Szef szeptał coś do siebie kręcąc głową, a w tym czasie skaut podszedł do Krokodyla, oparł swoją zwalistą rękę na jego ramieniu.

– Widzisz, mówiłem ci, że nie będzie to trudne. Chodź młody, idziemy.

– Aaale... – Krokodylowi odebrało mowę.

– Masz zakaz wstępu na salę. Zabieram, to znaczy konfiskuję na rzecz społeczności twoją skrzynię i wszystko, co w niej jest. – Głos Szefa wbił się w plecy jak zimna, stalowa igła. Krokodyl przystanął. Śpiwór, ogniwa i parę innych rzeczy. Nagle zrozumiał jak wiele traci i poczuł, że nie chce się z nimi rozstawać. – I mogę to zrobić, bo takie mamy prawo u nas – to ostatnie zdanie skierował do skauta.

– Oj, Suchy, Suchy... – Ten tylko pokręcił głową i popchnął Krokodyla do wyjścia. – Nie martw się, ktoś inny przyniesie drut za ciebie. O rzeczy też się nie martw. Dostaniesz nowe. – I skaut wypchnął nieco odrętwiałego po takiej nowinie Krokodyla z pomieszczenia. – Lepsze i więcej. Niczego ci nie zabraknie.

– Chciałbym się pożegnać – powiedział, gdy wyszli z narzędziowni patrząc na salę, która była jego domem, i która nagle stała się bardzo odległa. Obok nich przemknął umyślny z kartką, którą za chwilę przypnie do tablicy z dyrektywą Szefa i ogłosi ją na hali. Czy to koniec? Jeszcze nie do końca rozumiał, dlaczego tak wiele wydarzyło się w ostatnich minutach.

– Przykro mi, ktoś przekaże od ciebie wiadomość w stosownym czasie. Dziewczyna?

– Aneczka.

– Ładna?

– To moja mama.

– Aha. Nie martw się.

Gdy szli w stronę wyjścia nagle wszyscy zrobili się bardzo zajęci i unikali spojrzenia w oczy, odwracając głowę, gdy tylko na nich spojrzał. O co chodzi? Czyżby dopadł go werbunek? Przecież zwolnili ich osadę z tego obowiązku. To było jedno z gwarantowanych praw, jakie posiadali. Nie rozumiał. Nie pojmował i był zbyt przestraszony i zaskoczony, żeby zaprotestować. W końcu, gdy zakładał na siebie pod czujnym okiem strażnika buty, postanowił przerwać ciszę.

– Naprawdę zabierzesz mnie do Częstochowy? Zobaczę boginię?

– Pewnie. Tylko załatwimy jedną sprawę po drodze.

– Po drodze? Jeszcze gdzieś pójdziemy? Dokąd? Mucha, powiesz mi?

– Jedziemy do Opola.

– Jedziemy? Do Opola? – Był zdumiony. I nie wiedział czy bardziej tym, że uświadomił sobie, że pojedzie prawdziwym kompozytem, czy tym, że przypomniał mu się widziany konwój. – Ale co my tam będziemy robić?

Mucha wzruszył ramionami i przestał się odzywać. Wyszli na zewnątrz w lepką śnieżycę i ruszyli znaną drogą przez las. Wiatr przenikał przez poły płaszcza i powodował drżenie mięśni, a może to tylko nerwy po niedawnych wydarzeniach znajdowały ujście dla siebie. Mijając ostatni posterunek nawet nie popatrzył w tamtą stronę, nie podniósł ręki. Skulił się tylko i mocniej naciągnął kołnierz płaszcza. Szli w milczeniu. Powinien się cieszyć, a szedł jak na zatracenie. Przy wiadukcie czekała na nich ciężarówka. Mucha kazał mu wsiąść na pakę. Odchylił plandekę i podsadził go. Po czym wlazł do szoferki i pojechali. Krokodyl znalazł się w milczącej grupie kilkunastu młodzików i paru skautów Zakonu. Zbici w gromadkę, zmarznięci, przez moment wszyscy patrzyli na niego. Jeden wskazał mu miejsce. Ciężarówka ruszyła. Usiadł na wskazanej desce, by nie upaść i z tysiącem pytań kołaczących mu w głowie, tak jak pozostali, zaczął wpatrywać się tępo w podłogę.